

120 przygód koziołka Matołka

*Wszystkie mądre polskie kozy,
By je zliczyć, nie mam siły!
Na naradę się zebrały
I rzecz taką uchwaliły:*

*„W sławnym mieście Pacanowie
Tacy sprytni są kowale,
Że umieją podkuć kozy,
By chodziły w pełnej chwale.*

*Przeto koza albo kozioł,
Jakaś bardzo mądra głowa,
Aby podkuć się na próbę,
Musi pójść do Pacanowa.*

*A gdy wróci ten wędrowiec,
Już podkuty, ale zdrowy,
Wszystkie kozy się dowiedzą,
Czy to dobrze mieć podkowy.”*

*„Kto ten dzielny? Kto się zgłasza?”
„Ja!” – zakrzyknął w głos koziołek.
Miał maleńką, piękną bródkę,
A wołano nań: Matołek.*

*Czule zegnał go ród kozi,
Mama i sędziwy tata,
A Matołek wziął tobołek
I wędruje na kraj świata.*

*Kiedy znalazł się na drodze,
Po raz pierwszy na wolności,
Skoczył w górę nasz koziołek,
Aby rozprostować kości.*

Nagle ujrział dwa zające,

Więc zapytał: – „Proszę panów,
Może mi panowie wskażą,
Gdzie to miasto jest Pacanów?”

Rzekł mu jeden: – „Idź przed siebie,
Trochę w prawo, trochę w lewo,
Przepłyń morze, przeskocz góry,
Aż napotkasz uschłe drzewo.”

Nagle przerwał i zakrzyknął:
„Niech ratuje się, kto zając!”
A koziołek smyk na drzewo,
Przed psem strasznym uciekając,

„Złaż natychmiast z mego brzucha”
Woła drzewo w wielkim gniewie.
„Nie masz prawa, śmieszna kozo,
Po szanownym łazić drzewie.”

Zawołało wiatr na pomoc
I zatrzęsało się z łopotem,
Tak że spadło trochę liści,
A koziołek zaraz potem.

„Aj! Aj!” – wrzasnął, choć pod drzewem
Złego już nie było zwierza,
Lecz tymczasem jeź przydreptał
A koziołek spadł na jeża.

Beknął głośno siedem razy,
Skoczył, jakby opętany,
A siąść nie mógł, bo w tym miejscu
Miał bolesne bardzo rany.

Jeź Igiełka rzekł mu na to:
„Czemu krzyczysz? To się zdarza!
Czyś ty jabłko, by spaść z drzewa?
Teraz biegnij do lekarza”

Niedźwiedź zawsze jest lekarzem,
Z pokolenia w pokolenie,
Zbadał rany, potem mruknął :
„Dam ci coś na przeczyszczenie.”

„Nigdy!” – krzyknął nań koziołek,
„Wolę już najsroższe bóle!”
Na stół skoczył, stłukł kałamarz
I przez okno smyk! na pole...

Właśnie pasły się cielęta
Na zielonym brzegu Wisły.
Z wielkim się rozbiegły krzykiem:
„Kozioł wariat! Stracił zmysły!”

On zaś poszedł poprzez pola.
W krąg kraina bardzo pusta,
Nagle, gdy był bardzo głodny,
Szepnął cicho: – „Ach, kapusta!”

Głowy stały tak w szeregu,
Jakby za żołnierzem żołnierz.
Nasz koziołek zaczął ucztę,
Wtem ktoś chwytą go za kołnierz.

„Tuś mi, bratku, capie młody!”
Wołał stróż, co wyszedł z cienia.
„Nie oglądaj się, idź prosto,
Do więzienia! Do więzienia”

Przyszedł sędzia i rozkazał,
By zakuli go w kajdany,
I w komórcie bardzo ciemnej
Kazał przykuć go do ściany.

Siedzi biedny nasz koziołek
I nie może ruszyć łapą,
Jęczy tylko i wciąż płacze:
Żegnaj, mamó, żegnaj, papo!”

W nocy przyszli rozbójnicy,
Wygrzebali ziemię kołkiem
I na plecach swych unieśli
Tę komórkę wraz z Matołkiem.

Do ciemnego zaszli lasu,
Patrzą, co tam jest w komorze!
Nagle strasznie zakrzyknęli:
„Diabeł! Ratuj się kto może!”

„Stójcie, stójcie!” – kozioł woła
„Uwolnijcie mnie z powroza,
Ja nie jestem żaden diabeł,
Moja mama była koza!”

Lecz po zbójcach nie ma śladu,
Bo uciekli, gdzie pieprz rośnie,
A koziołek został w lesie,
Pobekując wciąż żałośnie.

Bekiem zbudził czarownicę,
Bardzo straszną babę Jędzę,
Co dziewczynek złote włosy
Jak na krosnach tka jak prządzę.

Przyszła, patrzy i wciąż cmoka,
Potem rzecze: – „Coś, kochanie,
Jesteś mi zanadto chudy,
Ale zjem cię na śniadanie!”

A on na to: – „Zdejm łańcuchy,
A ja za to cię z ochotą
Poprowadzą tam, gdzie leżą
Wielkie skarby, srebro, złoto!”

Wiedzie potem czarownicę
Przez las stary, przez las młody,
Aż oboje tam przybyli,
Gdzie są wielkie, czarne wody.

Kazał stanąć jej nad brzegiem
I na chwilę zamknąć oczy.
Baba stoi, a koziołek
Jak nie beknie! Jak nie skoczy!

Tak ją ducnął w brzuch rogami,
Wedle dawnej koziej mody,
Że fiknęła siedem razy
I jak kamień bęc do wody!

„Hulaj, kozal” – rad zawołał,
Potem pobiegł do jej chaty
I uwolnił troje dziątek,
Co płakały spoza kraty.

Dwie dziewczynki, jeden chłopczyk,
Uklękęwszy w chaty progu,
Ślicznie razem zaśpiewali,
Aby podziękować Bogu.

Potem razem szli z koziołkiem
Aż do czarnych lasów skraju,
Dzieci poszły w kraj daleki,
A on został na rozstaju.

Spotkał kaczkę; pięknie wita:
„Babcia pani pewnie zdrowa?
Może pani mi odpowie,
Jak stąd iść do Pacanowa?”

„Kwa! kwa!” – kaczka wrzaśnie na to,
Czyniąc w wodzie wiele plusku.
„Nie rozumiem!” – rzekł koziołek,
„To zapewne po francusku”

Noc zleciała, jak kruk czarna,
A koziołek smutno kroczy,
Ledwie długą widzi drogę,
Biedne wypatruje oczy,

Co to?! Co to?! Z wielką wrzawą
Smok potężny drogą leci,
Dwoje oczu ma na przedzie
I straszliwie nimi świeci.

Lecz koziołek nasz odważnie
Stanął pośród czarnej drogi!
Może zginie, ale przedtem
Chce potwora wziąć na rogi.

Ten uderzył go żelazem,
Które miał na paszczy przedzie.
Kozioł fiknął, wzleciał w górę,
Potem miękko spadł i – jedzie.

Nagle stanął wóz żelazny,
A tłum wielki w głos wykrzyka:
„Kozia! Kozia! Łapcie kozę!
Zawołajcie tu rzeźnika!”

Wielki strach padł na koziołka,
Wszystkie zebrał w sobie moce,
Skoczył i uciekał pędem,
Przez trzy dni i przez trzy noce.

Głodny bardzo, szukał długo,
Czy się czego zjeść nie udał
Aż zobaczył wiewióreczkę,
Co jak płomień była ruda.

„Daj mi zjeść co, dobra pani!”
A wiewiórka: – „Bardzo proszę,
Mam na sprzedaż sześć orzechów,
Ale zapłać mi trzy grosze.”

„Skąd je wezmę, nieszczęśliwy,
Widzisz przecie, że jest w nędzy!”
Wtem zobaczył Stracha w polu;
„Może pan mi da pieniędzy?”

Strach na wróble zdjął kapelusz,
Bardzo mu się pięknie kłania
I powiada: – „Smutne czasy.
Ja też jestem bez śniadania.”

Przyszedł do jednego miasta,
Gdzie wydano prawo nowe:
„Kto by z brodą wszedł na rynek,
Temu zaraz utną głowę!”

Napis taki był na bramie,
Kozioł patrzył weń ciekawie,
Ale że nie umiał czytać,
Nic nie wiedział o tym prawie.

Więc schwyтали go od razu,
Wnet go na stracenie wiodą,
I odcięli mu głowiną
Razem z piękną bardzo brodą.

Leży biedak już bez ducha,
Wtem poczciwy szewc nadchodzi.
Spojrzał, westchnął i powiada:
„Pewnie brodą miał dobrodziej!”

Bardzo zacny był to człowiek,
Więc choć to nie było łatwo,
Przyszył głowę do tułowia
Bardzo mocną, szewską dratwą.

Ożył kozioł, beknął rzewnie,
Potem szewca wziął w uściski,
Szewc do domu go zaprosił,
A tam z jednej jedli miski.

Gdy odpoczął, poszedł dalej.
Aż tu wszystkim herold głosi,
Że bal będzie u królewny,
Najjaśniejszej, pięknej Zosi.

A kto z gości na tym balu
Najpiękniejszą pieśń zaśpiewa,
Będzie królem i dostanie
Berło ze złotego drzewa.

„Będę królem!” – krzyknął kozioł,
„Śpiewam piękniej niż słowiki!”
I czym prędzej zaplótł brodę
W bardzo zgrabne warkoczyki.

Każdy cudne śpiewał pieśni,
Czy bogaty, czy ubogi,
Lecz gdy nasz Koziołek beknął,
Wszyscy w krzyk i dalej w nogi!

„Ach, ty trąbo jerychońska”
Tak królowna gniewna rzecze.
Niech go kucharz stąd zabierze
I na rożnie wnet upiecze”

Straszną byłby zginął śmiercią,
Ale patrzcie! Kozioł zmyka,
Bo gdy kucharz w ogień dmuchał,
On się przebrał za kuchcika.

Gdy tak zmyka w białym stroju,
Ktoś go chwycił na zakręcie
I zawołał: – „Chodź, mój miły!
Bądźiesz kuchtą na okręcie!”

Gdy uwarzył pierwszy obiad,
Wszyscy w krzyk, i miast zapłaty
Ia wyborne gotowanie
Wsadzili go do armaty.

Jak nie hukniel Jak nie fukniel
A koziołek nasz, niebożę,
Długo leciał przez powietrze
I po czterech dniach wpadł w morze.

Spadł na małą czarną wyspę
I odetchnął odrobiną.
Nagle wyspa się zachwiała
I zanurza się w głębinę.

Dziw nad dziwy! Straszne rzeczy!
Lecz wy rozumiecie chyba,
Ze Matołek, co miał pecha,
Prosto spadł na wieloryba.

Parsknął biedak, bowiem w morzu
Woda jest okropnie słona,
A on skąpał się w niej cały,
Od swej brody do ogona.

Wtedy słońce pociemniało,
Jakby je zakryła chmura,
Bo to leciał ptak straszliwy,
Co się zwał „Skrzydłata Góra”.

Ryknął, jakby lew zaryczał,
Porwał kozła w swoje szpony
I biednego syna kozy
Gdzieś w nieznane poniósł strony.

Leci, leci, leci, leci,
Aż doleciał do księżycyca!
Już go pożreć chce łapczywie,
Gdy wtem miga błyskawica.

Polski szlachcic z szablą bieży,
Krzykiem wielkim siejąc grozę:
„Jakim prawem, krwawy zbójco
Chcesz tą polską pożreć kozę!”

„Ja tu jestem, pan Twardowski
Co ci nie da zjeść biedaka!”
Gdy to straszny ptak usłyszał,
Między chmury dał drapaką

Szlachcic w śmiech, a potem rzecze
„Że gościnność mam w zwyczaju,
Usiądź waść i opowiadaj,
Co tam w polskim słychać kraju!”

Gadał kozioł, to co wiedział,
Potem zaś dziękował szczerze,
A Twardowski poweselał,
Na to miłe patrząc zwierzę.

Rzekł mu potem: – „Dziś na ziemią
Bąda złote spadać gwiazdy.
Siądź na jedną, jeśli Wasze
rakiej się, nie boisz jazdy!”

„Raz śmierć kozie!” – kozioł wrzasnął,
Widząc gwiazdę spadającą.
Skoczył śmiało i już leci,
Tylko bardzo mu gorąco.

Leciał prawie przez trzy lata,
Wciąż się złotą żywiąc trawą,
Aż nareszcie gwiazda woła:
„Teraz lecim nad Warszawą!”

Znowu leci, iskry sypie,
Gdy wtem wody się rozprysły
I gwiazdeczka o północy
Wpadła z kozłem wprost do Wisły

Beknął kozioł, zanurzony
W zimne fale aż pod brodą,
I narzeka: – „Czym ja kaczką,
Aby ciągle spadać w wodę!”

Na brzeg z wielkim wylazł trudem,
Przez piaszczyste brnie nasypy
I powiada: – „Ej, Matołku,
Zebyś ty nie dostał grypy!”

Kiedy wreszcie świt rozbłysnął,
Kozioł, zziąbły i rozżalony,
Widzi, jak żołnierze gazem
Wielki nadymają balon.

„Poleć z nami!” – powiadają.
„Polecimy ponad chmury!”
„Piękne dzięki!” – rzekł Matołek,
„Właśnie powróciłem z góry!”

I w te pędy w las ucieka,
Bo to wiedział już dokładnie,
Ze jest ładnie na księżycu,
Lecz na ziemi jeszcze ładniej.

Bum! Bum! – nagle się rozlega
Przez leszczyny i przez łoży,
A on poczuł ból w tej stronie,
Gdzie ogonek mają kozy.

„Gwałtu! Tu jest polowanie
I na śmierć mnie zastrzelili!”
Jęknął kozioł i ze strachu
Ubiegł więcej niż pół mili.

Ciemno stało się na świecie,
Wielka burza przeszła blisko,
A gdy ścichła, z gęstwy lasu
Wyskoczyło złe wilczysko.

„Śmierć mnie czeka w paszczy wilka!”
Nasz Matołek rzewnie jęczy,
Gdy wtem most przed sobą ujrzał,
Przeogromny, z cudnej tęczy.

Skoczył na ten most wspaniały,
A wilk z miną ogłupiałą
Patrzy, jak koziołek dzielny
Pod niebieską mknie powałą!

Kiedy znalazł się na szczycie,
By nie skręcić sobie karku,
Przysiadł i tak zjechał na dół,
Jak kolejką w lunaparku.

Przebiegł tęczę przez pół świata,
Wykopyrtnął się w dolinach,
Spojrzał wkoło i zrozumiał,
Ze się nagle znalazł w Chinach!

Przez ryżowe bieży pola,
Przez herbaty mknie zagajnik,
Aż zobaczył taki pałac,
Jak porcelanowy czajnik.

Rzekł do siebie: – „Po co, koźle,
W chińskie ty się sprawy mieszasz!”
Wtem za nogi strach go chwycił,
Bo się chiński zjawił cesarz.

Rzekł łaskawie: – „Witaj, panie!
Choć masz jeszcze lata młode,
Mandarynem cię mianuję,
Bo masz bardzo piękną brodę!”

Już po chwili kozioł stąpa
Po pałacu, cudnie odzian,
A cesarza córka woła:
„Ach, przystojny jest ten młodzian!”

Potem cesarz tak rozkazał:
„Niech mu nikt nie daje jadła,
Aż ten chłopczyk się nauczy
Z chińskich liter abecadła”

„Jest tych znaków nie tak wiele,
Ze czterdzieści coś tysięcy,
Więc się krótko będzie uczył,
Sto lat może, lecz nie więcej!”

„Ratuj, mamó!” – jęknął kozioł,
Który był już mandarynem.
Znacznie gorsze to od śmierci,
Co wciąż goni za twym synem!”

Gdy się wszyscy spać pokładli,
Kozioł zdjął jedwabne szaty
I tajemnie się zagrzebał
W wielkim pudle od herbaty.

Rano wzięły je Chińczyki,
Po niezmiernym nieśli kraju,
A w rok potem nasz koziołek
Był już w Indiach, aż w Bombaju

Tam poważny jeden kupiec
Odbił zręcznie wieko z pudła
A z herbaty wyskakuje
Postać smutna i wychudła.

„Nim odpowiesz” – rzekł Matołek
„Wprzódy dobrze się zastanów
I objaśnij mnie łaskawie,
Czy to wreszcie jest Pacanów”

Ten zaś człowiek, co miał kolor
Jak chleb, kiedy się przypiecze,
Na twarz upadł i zawołał:
„Sziwa riwa! Ecze pecze!”

Tłum ogromny bieży, krzycząc:
„Aja koza hindu teli!”
Znaczy to: – „Tak pięknej kozy
Jeszcze w Indiach nie widzieli!”

„Coś mi się to nie podoba!” –
Myśli kozioł zadziwiony.
Gdy wtem tłum z ogromnym wrzaskiem
Rozbiegł się we wszystkie strony.

Patrzy, a to słoń pijany,
Na ognisty rum łakomy,
Bieży, trąbą drzewa łamie
I wywraca małe domy.

Dojrzał kozła i wykrzyka:
„Porzuciłem mego pana
Siadaj na mnie i zmykajmy,
Będę w tobie miał kompana!”

Już po chwili kozioł siedział,
jakby na wysokiej wieży,
A słoń pądzi w las i trąbi:
„Z drogi! Z drogi! Pan słoń bieży!”

Biegł przez wiele dni i nocy,
Kozioł nie czuł w sobie kości,
Więc gdy słoń na chwilą zasnął,
Zsunął się i smyk! w ciemności.

Nadszedł ktoś, a kozioł pyta:
„Gdzie ja jestem, dobry paniel”
tamten grzecznie mu odpowie:
„Jesteś pan w Afganistanie!”

„Koniec ze mną” – myśli kozioł,
„Bo już moja doła taka!”
Wtem przypadkiem, gdzieś pod niebem,
Stalowego ujrzął ptaka.

Własnym oczom nie dowierza:
„Czy gorączkę mam, czym chory!
Przecie na aeroplanie
Polskie widać stąd kolory!”

Aeroplan usiadł pięknie,
Bardzo blisko, o stajanie.
Kozioł biegnie, woła, płacze:
„Ratuj mnie pan, kapitanie!”

Lotnik zaś, zdumiony wielce,
Oczom wierzyć swym nie może!
Śmieje się i tak powiada:
„Skąd tu wzięłaś się, niebożę!”

Gdy mu kozioł opowiedział,
Jak wędruje nadaremno,
Ulitował się kapitan
I powiada: „Siadaj ze mną!”

Frunął w górę ptak stalowy,
Leciał, leciał w zachód krwawy,
A po kilku dniach niebieskich
Zdrowo przybył do Warszawy.

Do nas przyszedł biedny kozioł,
Wyrwał siwy włos z swej brody,
I serdecznie popłakując,
Opowiedział swe przygody.

A nam też się płakać chciało,
Przeto, widząc go w boleści,
Prosiliśmy, by zjadł obiad
I używał, co się zmieści!

A on na to – „Chciałbym bardzo,
Lecz odpocząć tu nie mogę.
Muszę szukać Pacanowa
I w tej chwili idę w drogę!”

Więc pożegnał nas serdecznie
I znów poszedł, biedaczysko,
Po szerokim szukać świecie
Tego, co jest bardzo blisko.

Straszne znowu przeżył dzieje,
Śmieszne, smutne, nie o wiary,
Tak, jak gdyby na koziołka
Ktoś potężne rzucił czary.

Mamy nowe wiadomości
I składamy je w swej teczce,
A za rok je opiszemy
W ślicznej jako ta, książeczce.